

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



FRANCISZEK KARPIŃSKI

WIERSZE

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

PIEŚNI NABOŻNE

PORANNA

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze.
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon, Boże wielki!

A człowiek, który bez miary,
Obsypany Twymi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
A czemuż by Cię nie chwalił?

Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
Wnet do mego Pana wołam,
Do mego Boga na niebie,
I szukam Go koło siebie.

Wielu snem śmierci upadli,
Co się wczora spać pokładli
My się jeszcze obudzili,
Byśmy Cię, Boże, chwalili.

O NARODZENIU PAŃSKIM

Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony;
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice Nieskończony.
Wzgardzomy - okryty chwałą,
Śmiertelny - Król nad wiekami!...
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

Cóż, Niebo, masz nad ziemiany?
Bóg porzucił szczęście twoje,
Wszedł między lud ukochany,
Dzieląc z nim trudy i znoje.
Niemąło cierpiał, niemąło.
Żeśmy byli winni sami.
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

W nędznej szopie urodzony,
Żłób mu za kolebkę dano!
Cóż jest, czym był otoczony?
Bydło, pasterze i siano.
Ubodzy, was to spotkało
Witać Go przed bogaczami!
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

Potem i króle widziani:
Cisną się między prostotą,
Niosąc dary Panu w dani:
Mirrę, kadzidło i złoto.
Bóstwo to razem zmieszało
Z wieśniaczymi ofiarami!...
A Słowo Ciałem się stało,
I mieszkało między nami.

Podnieś rękę, Boże Dziecię,
Błogosław ojczyznę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę swą siłą,
Dom nasz i majątność całą,
I Twoje wioski z miastami.
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

NA PROCESJĄ BOŻEGO CIAŁA

Zróbcie mu miejsce, Pan idzie z nieba,
Pod przymiotami ukryty chleba!
Zagrody nasze widzieć wychodzi
I, jak się dzieciom Jego powodzi.

Otocz Go wkoło, rzeszo wybrana,
Przed Twoim Bogiem zginaj kolana!
Pieśń chwały Jego śpiewaj z weselem,
On Twoim Ojcem, On przyjacielem.

Nic dosyć było to dla człowieka,
Że na ołtarzu codzien go czeka:
Sam ludu Swego odwiedza ściany,
Bo nawyki bawić między ziemiany.

Uścielajcie Mu kwiatami drogi,
Którędy Pańskie iść będą nogi!
Okrzyknijcie to na wszystkie strony:
„W środku nas idzie Błogosławiony!”

Straż przy nim czynią Anieli moźni,
Nie przystępujcie blisko, bezbożni!
Obyście kiedyś i wy poznali,
Jakiegośmy tu Pana dostali!

On winy nasze darować lubi,
Jego się wsparciem ten naród chlubi.
W domu i w polu daje nam dary,
Serc tylko naszych żąda ofiary.

Niesiemy ci je, Boże, niesiemy!
Dawaj nam łaski, sercać dajemy.
I tej zamiany między stronami
Niebo i ziemia będą świadkami.

My nie słyszymy, jak nam niebiosy
Odpowiadają swemi odgłosy.

PODCZAS PRACY W POLU

Boże, z Twoich rąk żyjemy,
Choć na ziemi pracujemy!
Z Ciebie plenność miewa rola,
My zbieramy z Twego pola.

Wszystko Cię, mój Boże, chwali!
Aleśmy i to poznali,
Że najmiłszą Ci się zdała
Pracującej ręki chwała.

Co rządzisz ziemią i Niebem,
Opatrz dzieci Twoje chlebem,
Ty nam daj urodzaj złoty,
My ci dajem trud i poty.
Kiedyś przyjdziem na godzinę,
Gdy kończąc ziemską gościnę,
Z Łazarzem, po naszym zgonie,
Odpoczniemy na Twem łonie.

O POGODĘ

Dosyć, Boże, deszcze lały!
Twoje się dzieci zebrały,
Proszą od ciebie pogody:
Błyśnij słońcem, spłyną wody!

Spojźrzyj na niwy zgubione,
Na sługi Twoje strwożone,
Wróc plon, który nas posili,
Ażebyśmy Ci służyli.

O DESZCZ

Ciebie, Boże, lud Twój wzywa!
Grozi głodem oschła niwa.
Niecił tylko Pan chmurom rzecze,
A obfity deszcz pociecze.

Wzrusz się dla nas, Ojczy miły,
Dzieci Twe Cię obstały.
Jeżeliśmy łaski godni,
Masz chleb w ręce, a my głodni.

PRZY GRZEBANIU UMARŁYCH

Zmarły człowiecze, z tobą się żegnamy;
Przymij dar smutny, który ci składamy!
Trochę na grób twój porzuconej gliny
Od twych przyjaciół, sąsiadów, rodziny.

Powracasz w ziemię, co matką twą była;
Teraz cię strawi, niedawno żywiła.
Tak droga każda, którą nas świat wodzi,
Na ten ubity gościniec wychodzi.

Niedługo, bracie, (albo siostrze) z tobą się ujźrzemy,
Jużeś tam doszedł, my jeszcze idziemy.
Trzeba ci było odpocząć po biegu!
Ty wstaniesz, boś tu tylko na noclegu.

Boże! ten zmarły w domu Twym przebywał,
U stołu Twego jadał, Ciebie wzywał,
Na Twej litości polegał bezpieczny,
Daj duszy jego odpoczynek wieczny!

WIECZORNA

Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie, Boże prawy!
A gdy będziem zasypiali,
Niech Cię nawet sen nasz chwali.

Twoje oczy obrócone
Dzień i noc patrzą w tę stronę,
Gdzie niedołężność człowieka
Twojego ratunku czeka.

Odwracaj nocne przygody,
Od wszelakiej broń nas szkody,
Miej nas wieczmie w Twojej pieczy,
Stróžu i Sędzio człowieczy!

PSALM XCI

Bonum est confiteri Domino

Ten Psalm ma tytuł w Hebrejskim: Psalm Pieśni w dzień Sabbatu.

*Jest niepewnego Autora i czasu. Traktuje zaś: o Opatrzności, o stworzeniu, o krótkim
szczęściu niezbożnych a długiem sprawiedliwych.*

Jakże to dobrze wyznawać Pana
Najwyższej chwały i mocy!
I litość jego wysławiać z rana,
I prawdę jego wsrzód nocy.

Grając ci, Panie, na arfie złotój,
Pienia połączę wdzięczności;
Patrząc na dziwne rąk Twych roboty,
Serce mi skacze z radości.

Jakże są wielkie Twe dzieła, Panie!
Jakże głębokie Twe myśli!
Szalony człowiek nie zważa na nie,
A głupi próżno je kryśli.

Gdy się nieprawość wzniesie, jak trawa,
Błyśnie na chwilę i padnie;
Twoja zaś, Boże najwyższy, sprawa
Na wieki światem tym władnie.

Oto Twój, Panie, przeciwnik zginie,
Zginie, kto z Tobą nie radzi,
Ni się postrzeże, jak w złej godzinie
Pomsta go Twoja wygładzi.

Jak jednoroziec głowę mą wzniosę,
Dojdę starości zgrzybiałej,
Twojej litości będę pił rosę,
Pełen i wieku i chwały.
Z pogardą na me wrogi spojrzełem,
Bo względów byli nie warci,
Potym wieść tylko o nich słyszałem:
Że własną złością potarci.

Jak palma, kwitnie mąż sprawiedliwy
Wzrośnie wraz z cedrem Libańskim,
Kwitnie, bo go sam Bóg szczepił żyw
I na przysionku wzrósł Pańskim.

A kiedy dojdzie pory sędziwój,
Nic z swej żywości nie straci;
Iść będzie, głosząc, że Bóg prawdziwy
Każdemu za swe odpłaci.

SIELANKI I WIERSZE MIŁOSNE

DO JUSTYNY TĘSKNOŚĆ NA WIOSNĘ

Już tyle razy słońce wracało
I blaskiem swoim dzień szczyli;
A memu światłu cóż to się stało,
Że mi dotychczas nie świeci?

Już się i zboże do góry wzbilo,
I ledwie nie kłos chce wydać;
Całe się pole zazieleniło;
Mojej pszenicy nie widać!

Już słowik w sadzie zaczął swe pieśni,
Gaj mu się cały odzywa.
Kłóć powietrze ptaszekwie leśni;
A mój mi ptaszek nie śpiewa!

Już tyle kwiatów ziemia wydała
Po onegdajszej powodzi;
W różne się barwy łąka przybrała;
A mój mi kwiatek nie schodzi!

O wiosno! Pókiż będę cię prosił,
Gospodarz zewsząd stroskany?
Jużem dość ziemię łzami urosił:
Wróc mi urodzaj kochany!

POŻEGNANIE Z LINDORĄ W GÓRACH

Pójdźmy na koniec smutnego Kluczowa.
Tam ją wśród łąki będziemy żegnali;
I, choć przed okiem naszym las ją schowa,
My jeszcze za nią będziemy wołali:
Lindoro, cożeś zrobiła?
Sierotyś nas zostawiła!

Rzeczko ty mała, w które tylko kraje
Popłyniesz, wszędzie powiadaj po drodze,
Że już Lindora z nami się rozstaje.
Bądź świadkiem, jak jej żalujemy srodze.
Lindoro, cożeś zrobiła? i t. d.

Powiedzcie, lasy, i wy, góry dawne,
Czy piękniejszego co w tych stronach było?
Jak wy będziecie odtąd z tego sławne!
Lecz jak się prędko światło wasze skryło!
Lindoro, cożeś zrobiła? i t. d.

Wieśniak swym małym dzieciom kiedyś powie:
„Dziatki, Lindory wyście nie widzieli!
Piękna, jak wiosna, i czerstwa, jak zdrowie,
Biała, jak len śnieg, co się w górach bieli.
Lindoro, cożeś zrobiła? i t. d.

Pasterze trzody swoje porzucali,
Żeby ją widzieć, a harde z pięknego
Ciała pasterki twarz swą zasłaniali.
Dziatki, ciężkoż wam widzieć co równego!
Lindoro, cożeś zrobiła? i t. d.

Już ponad rzeczkę nie będziesz chodziła,
I bielszej nogi nikt w niej nie umyje!
Oko wesołe, usta i twarz miła,
Wszystko się z twoim oddaleniem kryje.
Lindoro, cożeś zrobiła? i t. d.

Nie masz Lindory, czegoż tu czekamy?
Rozbiegnijmy się wr różne gór tych strony
Co nam po wszystkich? Lindory nie mamy.
Został nam po niej żal nieutulony.
Lindoro, cożeś zrobiła? i t. d.

ROZSTANIE SIĘ MEDONA

Rzucając trzodę i dawne koszary,
Zrażony Medon w insze brał się kraje.
Napróżno mu Filon ganił stary!
On sobie mówić i słowa nie daje.

Upaął się; znowu radby się odmienił:
Często się tędy obejrzy nieznacznie,
Gdzie się Palmiry piękny sad zielenił,
Nareszcie usiadł i tak śpiewać zacznie:

„Ona tam może ze mnie się naśmiéwa
I te łzy wierne dzieciństwem nazywa,
Albo ten żal mój sądzi za zmyślony:
„Już, mów, poszedł Medon naprzykrzony.”
Palmiro, ja się nic wrócę,
Ciebie więcej nie zasmucę!

Wśród pięknych nocy czasem mi kazała
Śpiewać, jam śpiewał, chociaż już i spała,
Tym sobie słodząc, gdy mi się przykrzyło:
Jak się obudzi, będzie jej to miło.
Palmira się obudziła
I wdzięczna mi tego była.

Po wiele razy za jej zgubionemi
Owcami biegłem przepaściami temi,
A ona tylko z góry tej patrzyła,
I owca jej się ze mną powróciła.
Palmira w rączki zapleszcze:
„Medon, szukaj jednej jeszcze!”

Raz ją widziałem, jak przy źródle piła
I śliczną swoją nogę ubłociła.
Nazajutrz kwiatem brzeg cały usiany
Tam, gdzie białemi klękała kolany.
Palmira mię słodko wspomnie:
„Medon i tu myślił o mnie.”

A w ten czas, kiedy biegła przestraszona,
Co ją był napadł zły pies Palemona,
Ja, za psem goniąc, nogę poraziłem,
A po tym, jak się z sąsiadem kłóciłem!
Palmira mi wśród swej trwogi
Przykładała ślaz do nogi.

Ale się ona dzisiaj odmieniła:
Kiedym jej śpiewał, to sobie przykrzyła:
„Przeze mnie jej się owce rozproszyły,”
W kwiatkach przy źródle, mówi, kolce były.
Palmira (o Boże żywy!)
Wyrzuca mi, zem kłótlivy.

W dalekiej jakiej żyć będę krainie,
Gdzie już Palmiry biała twarz nie słyńie;
Tam, smutno chodząc, dam przykład każdemu,
Jak mało wierzyć sercu kobiecemu.
Palmilo, swojeś zrobiła:
Jam zginął, a tyś zdradziła!

A gdyby ona jeszcze to poznała,
I mnie do dawnych łask przypuścić chciała?...
Medonie!... próżna nadzieja odmiany,
Jej wyrok zawsze był nieodwołany.
Palmiro, i za cóż jeszcze
Kocham cię? i za cóż jeszcze?..."

Tak śpiewał Medon, łza mu z oczu płynie;
Ledwie się podniósł, ledwie że się czuje.
Na tej, pod którą spoczywał, buczynie,
Tak swój żal ciężki krótko opisuje:
„Drzewo to mijaj, siekiéro!
Tu, rozstając się z Palmirą,
Łzami, Medon, wylanemi
Poświęciłem je mojemu.
Jeśli z kochających jaki
Na te kiedy trafisz siaki,
A także w swojej miłości
Kochałeś bez wzajemności,
Odnów dla wieku późnego
i To pismo kompana twego
A ty, o drzewo kochane,
Drzewem łez będziesz nazwane.”

KORYDON SMUTNY NA ŚMIERĆ PALMIRY

Korydon dopadł pożądanej ciszy,
W której go tylko zwierz lasowy słyszy,
Tam flet o drzewo tłucze, z nóg się wali
I tak się żali:

„Już ja ginąć więcej nie będę na tobie,
Moje Palmirę położywszy w grobie;
Już z nią na chłodzie pod sosną nie siędę,
Grać jej nie będę.

Niech tam wilk srogi dusi moje trzody,
Niech pije, kto chce, mym kuszem do wody;
Niemasz Palmiry, co wraz ze mną piła,
Gdy spieka, była.

Płacz, mój psie wierny, ona cię lubiła,
Ona cię sercem i mlekiem karmiła,
Ty teraz zdechniesz z głodu, mnie z żałości
Wyschną te kości.

Przyjdźcie, pasterki, z okolicy całej,
Na grób jej kwiaty będziecie rzucały
I chodząc wkoło ziemnej jej mogiły,
Tę pieśń nuciły:

„Palmiro, pewnie ty nie czujesz tego,
Jak bolejemy z rozłączenia twego,
Ni Korydonem twym się nie turbujesz,
Ty nic nie czujesz.

Wczoraś tak miło na nas poglądała,
A dziś, jakbyś to nigdy nas nie znała:
Zimno u siebie twe siostry przyjmujesz,
Ty nic nie czujesz!

Któż między nami jaką zrobi sprawę,
Kto nam na wiosnę powydziela trawę,
Kto zgadnie, wiele owce mleka dały
Na wydój cały?

Nieśmyż w ostatnie góry i niziny
Smutne sieroctwa naszego nowiny,
Niech skała stale podaje żal szczéry
Z straty Palmiry”.

Tak jej śpiewajcie, a ja kamień biały
Położę na jej grobie i ten mały
Sam swoją ręką nagrobek wyznacę:
„Tu swej Palmiry Korydon płacze”.

LAURA I FILON

Laura

Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły,
I coś tam klaszcze za borem.
Pewnie mnie czeka mój Filon miły
Pod umówionym jaworem.

Nie będę sobie warkocz trefiła,
Tylko włos związę splątany;
Bobym się bardziej jeszcze spóźniła,
A mój tam tęskni kochany.

Wezmę z koszykiem maliny moje
I tę plecionkę różową;
Maliny będzie:m jedli oboje,
Wieniec mu włożę na głowę.

Prowadź mię teraz, miłości śmiała!
Gdybyś mi skrzydła przypięła!
Żebym najprędzej bór przeleciała,
Potem Filona ścisnęła!

Oto już jawor... Nie masz miłego!
Widzę, że jestem zdradzona!
On z przywiązania żartuje mego,
Kocham zmiennika Filona.

Pewnie on teraz koło bogini
Swej, czarnobrewki Dorydy,
Rozrywkę sobie okrutną czyni,
Kosztem mej hańby i biedy.

Pewnie jej mówi: że obłądzona
Wpieram się w drzewa i bory,
I zamiast jego białego łona,
Ściskam nieczule jawory.

Filonie! wtenczas, kiedym nie znała
Jeszcze miłości szalonej,
Pierwszy raz-em ją w twoich zdybała
Oczach i w mowie pieszczonej.

Jakże mię mocno ubezpieczała,
Że z tobą będę szczęśliwą!
A z tym się chytrze ukryć umiała,
Że bywa czasem fałszywą.

Słabą niewinność łatwo uwiodą
Teraz, wracając do domu,
Nauczać będę moją przygodą,
Żeby nie wierzyć nikomu.

Ale któż zgadnie, przypadek jaki
Dotąd zatrzymał Filona?
Może on dla mnie zawsze jednaki,
Może ja próżno strwożona?

Lepiej mu na tym naszym jaworze
Koszyk i wieniec zawieszę,
Jutro paść będzie trzodę przy borze:
Znajdzie!... Jakże go pocieszę!

Och, nie! on zdrajca, on u Dorydy,
On może teraz bez miary
Na sprośne z nią się wydał niewstydy..
A ja mu daję ofiary...

Widziałam wczoraj, jak na nią mrugał,
Potem coś cicho mówili;
Pewnie to dla niej kij ten wystrugał,
Co mu się wszyscy dziwili.

Jakże by moje hańbę pomnożył,
Gdyby od Laury uwity
Wieniec na głowę Dorydy włożył,
Jako łup na mnie zdobyty!

Wianku różany! gdym cię splatała,
Krwia-m cię rąk moich skropiła:
Bom twe najmocniej węzły spajała,
I z robotą-m się kwapiła.

Teraz bądź świadkiem mojej rozpaczny
I razem naucz Filona,
Jako w kochaniu nic nie wybaczy
Prawdziwa miłość wzgardzona.

Tłukę o drzewo koszyk mój miły,
Rwę wieniec, którym splatała;
Te z nich kawałki będą świadczyły,
Żem z nim na wieki zerwała...

Kiedy w chrościnie Filon schroniony
Wybiegł do Laury splakanéj,
Już był o drzewo koszyk stłuczony,
Wieniec różowy stargany.

Filon

O, popędliwa!... O, ja niebaczny!...
Lauro!... poczekaj... dwa słowa!...
Może występki mój nie tak znaczny,
Może zbyt kara surowa.

Jam tu przed dobrą stanął godziną,
Długo na ciebie klaskałem,
Gdyś nadchodziła, między chrościna
Naumyślnie się schowałem,

Chcąc tajemnice twoje wybadać,
Co o mnie będziesz mówiła?
A stąd szczęśliwość moje układać;
Ale czekałem zbyt siła.

Pierwsze twe skargi o Dorys były.

Sądź o mnie, Lauro, inaczej:

Kogóż by wdzięki tamtej wabiły,

Kto cię raz tylko obaczy?

Prawda, że czasem z nią się bawiło,

Mając znajomość od długa,

Ale kochania nigdy nie było:

Nie już ten kocha, co mruga.

Oto masz ten kij; po nim znamiona

Niebieskie, gładko rzezane,

W górze zobaczysz nasze imiona,

Obłądnym węzłem związane.

Cóżem zawinił, byś mię gubiła

Przez twój postępek tak srogi?

Czyliż dlatego, żeś ty zbłądziła,

Ma ginąć Filon ubogi?

Jeśli się za co twych gniewów boję,

To mię ta rozpacz strapiła:

Drogom kupował ciekawość moje;

Łzamiś ją swymi płaciła.

Ale w tym wszystkim złość nic nie miała:

Wszystko z powodu dobrego,

Ja wiem, dlaczegoś tyle płakała,

Ty wiesz, mój podstęp dlaczego.

Laura

Dajmy już pokój troskom i zrzędzie,
Ja cię niewinnym znajduję;
Teraz mój Filon droższy mi będzie,
Bo mię już więcej kosztuje.

Filon

Teraz mi Laura za wszystko stanie,
Wszystkim pasterkom przodkuje;
I do gniewu ją wzrusza kochanie,
I dla miłości daruje.

Laura

Jedną się Dorys wyłączyć miała,
Jej pierwsze miejsce naznaczę.
Na to wspomnienie drzę zawsze cała,
Cóż, kiedy cię z nią obaczę!

Filon

Dla twego, Lauro, przypodobania,
Przyrzekam ci to na głowę:
Chronić się będę z nią widywania,
W żadną nie wnidę rozmowę.

Laura

Czymże nagrodzę za te ofiary?
Nie mam - prócz serca wiernego;
Jedne ci zawsze przynoszę dary,
Przyjmij je, jak co nowego.

Filon

Któż by dla ciebie nie zerwał węzły
Przyjaźni, co mię nęciły?
W twej pięknej twarzy wszystkie uwięzły
Nadzieje moje i siły.

Laura

Ja mam mieć z płaczu po twarzy smugi,
Ale jak mii się nadarzy
Spleść i ułożyć warkocz mój długi,
Mówią, że mi to do twarzy.

Filon

Gdyby mi Akast dawał swe brogi
Ze złotem swojej Izmeny,
Rzekłbym: Akaściel tyś jest ubogi,
Bo moja Laura bez ceny.

Laura

Ani ja pragnę szczęścia wielkiego,
Które (choćbym też i miała)
Za jeden uśmiech Filona mego
Zaraz bym z chęcią mieniała.

Filon

O światło moje wpośród tej nocy!
Zagrodo mego spokoja!
Ty jeszcze nie wiesz o twojej mocy,
A ja czuję ją!... o moja!

Laura

Położ twą rękę, gdzie mi pierś spada,
Czy słyszysz to serca bicie?
Za uderzeniem każdym ci gada,
Że cię tak kocha, jak życie.

Filon

Daj mi ust... z których i niepokoję,
I razem słodycz wypływa.
Tą drogą poślę zapaly moje,
Aż gdzie twa dusza przebywa.

Laura

Czy w każdym roku taka z kochania,
Jak w osiemnastym mozoła?
Jeśli w tym nie masz pofolgowania,
Jak człek miłości wydoła?

Filon

Sciśnij twójego, Lauro, Filona,
Ja cię przycisnę wzajemnie,
Serca, zbliżone łonem do łona,
Rozmawiać będą tajemnie.

Laura

Ty mię daleko ściskasz goręcej,
A jam cię tylko dotknęła;
Nie przeto, Filan, kochasz mnie więcej:
Miłość mi siły odjęła.

Filon

Lauro! coś dotąd dla mnie świadczyła,
Jeszcze dowodzi to mało,
Że mię tak kochasz, jakieś mówiła:
Jeszcze mi prosić zostało.

Laura

Tegom się miała z ciebie spodziewać?
Jakże to skarga niezbożna!
Nie proś, nie każ mi, ty mię chcesz gniewać!
Kochać cię więcej nie można.

Filon

Kiedyż mię za to nie będziesz winić?
I kiedy będziesz wiedziała,
Co do dzisiejszej łaski przyczynić;
Że taka miłość niecała?

Laura

Filonie! widzisz wschodzące zorze?
Już to drugi raz kur pieje,
Trochę przydługo bawię na dworze...
Jak matka wstała!... truchleję.

Filon

Żal mi cię puścić, nie śmiem cię trzymać,
Kiedyż przyśpieszy czas drogi,
Gdy z moją Laurą i słodko drzymać,
I bawić będę bez trwogi?

Laura

Miesiącu! Już ja idę do domu!
Jeśliby kiedy z Dorydą
Filon tak trawił noc po kryjomu,
Nic świeć, niech na nich dżdże idą!

PASTERZ DO OWIECZKI STRACONEJ

Na te bezdroża, owco ulubiona,
Idziesz bez swego pasterza.
Burzliwy wicher, zima uprzykrzona
Ciężkie mi przejścia zamierza.

Przez którekolwiek krainy przechodzić
Będiesz mej trzody ozdobo,
Wszędzie mój smutek za tobą ma chodzić
I tęskność moja za tobą.

Może cię niebo w twych trudach pokrzepi
I da bezpieczne noclegi,
Może cię jako zwierz dziki prześlepi,
Boś jest tak biała, jak śniegi.

Owieczko moja, duszy mojej duszo,
Nadziejo mojej nadgrody!
i Żadne mię teraz rozrywki nie wzruszą,
Bom stracił czoło mej trzody.

Ja się po tobie dosyć nic zasmucę,
Nic strawię żalu przyczyny.
Ja dziewięćdziesiąt i dziewięć porzucę,
Pójdę cię szukać jedynej.

NICE DO NIESTATECZNEGO

Już wiosna kończy odmiany,
Świeci pogoda dzień cały;
Filenie nieutrzymany,
Tyś tylko jeden niestały!

Wspomnij na pierwsze momenta
Poznawania się naszego;
Jakem ja była kontenta
Być więźniem więźnia mojego.

Jam ci się oddała całe
Serca najczystsza ofiarą,
Ty niem tak gardzisz zuchwale.
Niech ci len będzie dar karą!

Filenie, słyszysz te grzmoty?
Ja na cię pomsty nie kładę,
Ale wiedz dla twej zgryzoty,
Że się mści niebo za zdradę.

DO MOTYLA

O jakież skrzydełka jego!
Barwa błękitna z różowym,
Na głowie coś zielonego
A sam w pancerzu stalowym.

Motyłu, piękny motyłu,
Ja ciebie dziś złapać muszę!
Tylko stanę przy tym dylu,
Złapię, gałązki nie ruszę.

Do mojej miłej Justyny
Poniosę cię z skwapliwością.
Mój ty, motyłu jedyny,
Z jakąż cię przyjmie radością!

Ona ci porobi klatki,
Majem cię w koło osłoni,
Każe zbierać różne kwiatki,
Jeść będziesz z jej białej dłoni.

Żeby ci tęskno nie było,
Ja szukać drugiego będę,
Jeśli wam tak w parze miło,
Jak ja z Justyną gdy siędę.

Nie bój się śmierci z jej ręki,
Żyj, póki zechcesz na świecie!
Ona nie patrzy bez męki,
Choć brzydką muchę kto gniece.

Oh! on poleciał w gęstwiny!
Nie złapię... próżno się klóć.
Z czymże do mojej Justyny,
Z czymże ja z pola powrócę?

DO SKOWRONKA

Skowronku, cóż cię tak rano zbudziło?
Do wschodu słońca ma być jeszcze wiele!
Ja spać nie mogę, bo mi żyć nie miło,
Ale co ciebie budzi w twym popiele?

Nie śpię, że moja przy mnie nie nocuje,
A ty, że twoja przy tobie spoczywa;
Równo nas szczęście i smutek kosztuje,
Tylko twój niewczas słodkim się nazywa.

Jakże się w górę coraz wyżej wznosi,
Zostawiwszy swą samicę wśród roli,
Niby ją łaje, niby o coś prosi,
Niby się smuci i niby swywoli.

On zawsze z rana swej kochance śpiewa,
Ona się cieszy, jak nad nią wlatuje;
Czasem nad głosem jego się zdumiewa,
A czasem sama coś mu potakuje.

Jego gorętszych pora pewnie była
Miłości, co nim tak w górę rzuciły,
Która, kiedy go razem wyniszczyła,
Równo ku ziemi upada bez siły.

Nikt nie opowie żal nieutulony
Patrzącej na to smutnej jego pary.
Jakaż pociecha, kiedy otrzeźwiony,
Znalazł się blisko swej kochanki szarój.

Skowronku, ja cię mam za szczęśliwego!
Skuteczne leki masz na pogotowiu;
Mnie nic podobno nie zleczy chorego.
Zazdroszczę twojej słabości i zdrowiu.

PIEŚŃ PASTERSKA DO ZOSI

W Zosi wszystkie me żądze,
Zosia moje pieniądze;
Kiedy przy mnie przebywa,
Na niczem mi nie zbywa.

Jeślibym ją utracił,
Tobym zdrowiem zapłacił;
Tylko, gdy ją całuję,
Wtenczas życia moc czuję.

Na zielonej leszczynie
Ptaszek śpiewa ptaszynie
I chwali ją i prosi,
A ja śpiewam mej Zosi.

MAZUREK

Dobranoc, Jacenta,
I wam, usta czyste,
I słodkie oczęta,
I piersi parzyste!

Ja nie spać statecznie
Całą noc gotowym
Bo któż śpi bezpiecznie
Przy skarbie takowym?

Wzięłaś mi sen cały
Oczu twych czarami,
Nie będę, zuchwały,
Żartował z oczami.

Pójdęz ja do fary,
Jak się na dzień zbierze,
Na te twoje czary
Zakupię pacierze,

Kupięz ja i świecę
Za złotowiec cały,
Bym nie miał tęsknice
Po Jacentej białej.

Przynajmniej uproszę,
Jeśli jest zuchwała,
By, co ja ponoszę,
Toż samo cierpiała.

PRZYPOMNIENIE DAWNEJ MIŁOŚCI

Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory,
Tam ja z tobą, Justyno,
Słodkie pędził wieczory.

Noc się krótka zdawała,
Żegnamy się z świtaniem,
Miłość sen nam zabrała,
Miłość żyje niespaniem.

Nikt nie widział, nie szydził,
Niebo świadek jedyny!
Jam się nieba nie wstydził,
Miłość była bez winy.

Raz się chmura zebrała,
Piorun skruszył dębinę;
Tyś mię drżąca ścisłała
Mówiąc: „Sama nie zginę.”

Oto przy tym strumieniu,
Oto przy tej jabłoni,
Wieleż razy w pragnieniu
Wodę piłem z jej dłoni?

Dziś, kiedy nas w swym gniewie
Los rozdzielił opaczny,
Znaki nasze po drzewie
Popsuł pasterz niebaczny.

I ślady się zmazały!
Las zarasta krzewiną!
Potok, drzewa zostały;
Ciebie nie masz, Justyno!

PIEŚŃ MAZURSKA

Dla hożej swojej żony
Maciek wypędzony.

Porzucił dom, stodoły,
Uciekł prawie goły.

Widziałem mało potym.
Jagnę w czepcu złotym.

Przy karczmie na uciesze
Podkówkami krzesze.

Przewodzi muzykami,
Sypie złotówkami.

Ręce jej pobiełały,
Oczy poczerniały.

Wszyscy ją szanowali,
Bo się pana bali.

Nie dbają, choć to Pleban
Broni do mężatki.

Oj, będąż w piekle goreć
Po same łopatki!

SZCZĘŚCIE PRZY DORYDZIE

Kiedy ja usiedę koło mej Dorydy,
Oczy w nią wlepię i zapomnę biedy.
A ona mi jeszcze powie, jak mawiała:
„Daj mi swe serce, jam ci swoje dała.”
A ona mnie jeszcze ściśnie, pocałuje;
Wtenczas Dorydo, nic mię nie turbuje!
Niech jak chcą, gadają ludzie nieżyczliwi,
Jeszcze się przy mnie Doryda wyżywi.
Czyli palić słońce, czy bić będą sloty,
Dla jej miłości pójdę do roboty.
Śpiewając przy pracy pieśni o Dorydzie,
Zorzę mój zagon, zapomnę o biędzie.

DO MOJEJ PRZYSZŁEJ

Ty, co mym będziesz przywarom ulegać
I późny ogień miłości zażegać,
Czego po tobie żądałbym i wzajem,
Obacz, coć za twe ofiary oddajem:

Nie chcę cię młodym ozdobionej wiekiem,
Ani przyprawnych jagód róży z mlekiem:
Zima nadchodzi, minąłem się z latem,
Na cóż na mrozy narażać się z kwiatem ?

Z którą się wiekiem różniemy niewiele,
Która ma cnotę i rozum w podzięk,
Która zna ludzi, ulega w ich błędzie,
Ta mej wędrówki towarzyszką będzie.

Ta, która ucisk jaki wycierpiała,
Znieść złą fortunę i dobrą umiała,
Dźwigając skromnie nałożone brzemie,
Raz w niebo, drugi spoziera na ziemię,

Przy niej ja stanę, gotów do podróży,
Słota nam albo pogoda posłuży,
Czy szlak przestrony, czyli się zacieśni,
Szczęścia mojego śpiewać będę pieśni.

Kiedy się burza zawezmie umyślnie
I lzy jej z oczu niewinnych wyciśnie,
Ja, zebrawszy je, w sercu mojem złożę;
Żal podzielony nie tak trapić może.

Nie przejdą do niej złej fortuny strzały,
Piersi ją moje będą zasłaniały;
Gdy od pocisków schronię ją do końca,
Nazwę to szczęściem, raniony obrońca.

Dla niej już tylko me poświęcę rymy,
I kiedy zgonem bieg nasz dokończymy,
Jeśli kto zechce o me pisma pytać,
I o niej będzie wiek potomny czytać.

JUŻ JA NIE TEN

Lata moje ustąpiły,
Nie wiodą już o mnie spory,
Jak się dziewczęta kłóciły
Za czasów pięknej Lindory.
Dzisiaj, podstarzały,
Próżno dla kochanki
I śpiewam dzień cały
I przynoszę wianki.
Schylam się już do wieczora;
Już ja nie ten, co był wczora!

Przedtym, gdy mi młodość służy,
Każda mię ujmowac chciała,
I do boku bukiet z róży
Sama Kloe przypinała.
Dziś ledwie wyproszę,
By mi kwiatek dały
I łudząc się, noszę
Ten znak dawnej chwały.
Schylam się już do wieczora;
Już ja nie ten, com był wczora.

Rzeka w górę nie popłynie,
I nie wrócą się me lata;
Wiek mu cały marnie zginie,
Kto z młodu nie użył świata.
Idź Filon! W podróży,
Gdzie wiedzie pieszczota,
Dziś ci pole służy,
Jutro będzie słota.
Schylam się już do wieczora;
Już ja nie ten, com był wczora.

DUMY I ELEGIE

DUMA

Gdzie się podziały szczęśliwe lata naszej chwały,
Kiedy się do nas korony świata ubijały?
Kiedy Czech, Węgrzyn, Wołoch, Prus hardy poddaje się
I od północy Moskwicin twardy berło niesie.

Póki po zbroi Polaka brodę wiatr rozwijał,
Jadł swoje zboże, pił swoje wodę, wtenczas bijał.
Ale jak zbytki, co wszystko psują, nastąpiły,
Z Polską się bronią same mocują rdze i pyły.

Wstań z zimnych grobów, obudź zaspale, mężu jaki,
Pokaż do sławy pozarastało męstwa szlaki!
I kiedy z siebie nie damy szydzić do ostatka,
Swoich się dzieci nie będzie wstydzić Polska-matka.

DUMA LUKIERDY*, CZYLI LUIDGARDY

Powiejcie, wiatry, od wschodu!

Z wami do mojego rodu

Poślę skargę, obciążaną

Miłością moją skrzywdzoną.

Smutna matka w dłoń uderzy,

Nieszczęściu zaraz uwierzy,

Przyśle mi braty obrońcę

I łuków syrbskich tysiące.

Powiejcie, wiatry, od wschodu!

Z wami do mojego rodu

Poślę skargę, obciążoną

Miłością moją skrzywdzoną.

Ale stójcie, Syrby mężne!

Hamujcie razy potężne,

Choć mię Przemysław chce zgubić,

Ja go jeszcze wolę lubić.

Ja się tylko żalę na to,

Że moje upływa lato,

Że mię mej młodości zbawił.

On by się może poprawił.

Powiejcie, wiatry, od wschodu!

Z wami do mojego rodu

Poślę skargę, obciążoną

Miłością moją skrzywdzoną.

Szczęśliwsza wiejska dziewico!

Której miłość tajemnicą,

Nie zna jeszcze serca pana:

I ty, co kochasz, kochana!

Ja, króla męznego żona,

Kochając go, pogardzona.

Gdy mię dojmie rozpacz sroga,

Bluźniąc klnę siebie i Boga.

Powiejcie wiatry, od wschodu!

Z wami do mojego rodu

Poślę skargę, obciążoną

Miłością moją skrzywdzoną.

Czego błyszczysz, złoto marne?

Wszystko w oczach moich czarne:

Ten lud przede mną schylony,

I te Przemysława trony.

Obejrzyj się, mężu twardy!

Jeden uśmiech, a mniej wzgardy

Wróci szczęściu postać własną,

Da wszystkiemu barwę jasną.

Powiejcie, wiatry, od wschodu!

Z wami do mojego rodu

Poślę skargę, obciążoną

Miłością moją skrzywdzoną.

Ale on nieubłagany!...

Pójdę do matki kochanej,

Pójdę choć w jednej koszuli:

Ona mię w smutku utuli.

Przechodząc lasów tajniki,

Może litościwszy dziki

Zwierz mi życia nie uszkodzi,

Na które srogi mąż godzi.

Powiejcie, wiatry, od wschodu!

Z wami do mojego rodu

Poślę skargę, obciążoną

Miłością moją skrzywdzoną.

Gdzież mię ślepa miłość niesie?

Ona mię zbłąka po lesie.

Fałszywe ścieżki poradzi

I tu mię nazad sprowadzi?

Żebym zgon mój nieszczęśliwy,

Widziała, jak popędliwy

Uderzy hartowną strzałą

W serce, które go kochało.

Powiejcie, wiatry, od wschodu!

Z wami do mojego rodu

Poślę skargę, obciążoną

Miłością moją skrzywdzoną.

* Wypis z kroniki Bielskiego o Przemysławie i Luidgardzie: „Piszą o tym królu, iż to była pomsta boża nad nim o nielitościwy uczynek, który uczynił nad pierwszą żoną swoją, Lukierdą, którą potajemnie pannom jej udusić kazał, nie mając do tego przyczyny żadnej jedno tę, że nieplodną była, jakoby to na woli jej było, a nie w rękach boskich. Acz choć też miał drugą żonę, Ryszę królową szwedzką, tedy z nią tylko jedną dziewczeczkę miał, która w ośmiu leciech po nim została, a tę pojął Waclaw, jako o tym będzie niżej. Pisze Długosz, iż jeszcze pieśń staroświecką zastał, która złożono o tej Lukierdzie a o Przemysławie i śpiewano ją w Wielkiej Polsce, w której go prosiła żona jego, aby ją był w jednej koszulce do domu odesłał a okrucieństwa tego nad nią nie czynił. Była to Lukierda z książąt Syrbskich z Sasi, albo albo Kaszubka.”

NA ODMIENIONE NADPRUCIE

Prucie, w którego przeźroczywej wodzie

Białe umywa nogi Pokucianka!

Pożal się Boże, już po twej swobodzie,

Po twych rozrywkach w wieczór od poranka.

Ja siadysz nad twoim brzegiem,

Patrzyłem z rozkoszą duszy,

Jak czasem ślicznym szeregiem

Pań twoich tabor się ruszy.

Te często w jedną zebrane gromadę,
Przy twoich wodach obóz zakładały.
Wesołych swoich zabaw czyniąc radę,
Przechodnia w jego drodze zatrzymały.
Ta, leżąc pod krzakiem, śpiewa,
Ta jakąś do swych ma mowę,
Insza co śmielsze zagrzewa:
„Przebrnijmy rzekę Prutowę!”

Drugie, po równym goniąc się zarynku,
Za Korydonem kamyczki rzucają;
Tylko mu przez to nie dają spoczynku,
Ale samochcąc w niego nie trafiają.
Potym zgonionego, hurmem
Obsiadłszy, gniotą kolany.
On, ledwie dysząc pod szturmem,
Cieszy się, że jest złapany.

Prucie, jakżeś jest bardzo odmieniony!
Wody twe dzisiaj cicho upływają,
Smutnym gra tonem Korydon zniszczony,
Ślicznych twych córek ścieżki zarastają.
Nie słychać głosu Klorydy,
A Filis smutnemi ściegi
Wyszywa klęski Dorydy.
Ja przecie kocham twe brzegi!

POWRÓT Z WARSZAWY NA WIEŚ

Otóż mój dom ubogi! też lepione ściany,
Też okna różnoszybne, piec nie polewany
I niska strzecha moja!... Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcej pochyliło!
Szczęśliwy, kto na małym udziale przebywa,
Spokojny siadł przy stole wiejskiego warzywa,
Z swej obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,
Z domu napój i wierną przy boku drużynę.
Obym ja był tak dawniej myślał, oszukany!
I w ukrytym gdzie kącie żył raczej nieznanym;
Gdyby o mnie w powiecie nawet nie wspomniano,
I tylko mnie sąsiadem dobrym nazywano!
Bym się żywił z krwawego rąk moich wyrobku,
Żył na świecie bez wieści, umarł bez nagrobku!
Com zyskał, że rzuciwszy ubogie zagrody,
Chciałem nieopatrzony płynąć przeciw wody?
I widząc na me oczy, jak drudzy tonęli,
Jam sobie myślał: „Oni płynąć nie umieli.”
Com zyskał, na wysokie pańskie pnąc się progi,
Gdzie po śliskich ich stopniach obrażając nogi,
Nic się z moim lepszemu nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem.
Kiedy mnie ojciec stary zegnał przy swym zgonie,
„Idź, mówił, synu, na świat, w jakiej będziesz stronie.
Pamiętaj, że na Prawdzie nikt nigdy nie traci:
Zostawiam cię ubogim, Prawda cię zbogaci.”
Słuchałem cię, ojczy mój, goszcząc między pany;
Takem pisał lub mówił, jak był przekonany.

Nie brałem sobie za cel ludzkie głosić winy,
A jeśli kogo chwalił, nigdy bez przyczyny.
Cóżem zyskał, pochlebstwem nie służąc nikomu?
Otom wrócił uboższym, niż wyjechał z domu.
Nie przeto, święta Cnoto, porzucić cię trzeba,
Że wieku dzisiejszego nic nie dajesz chleba;
Choćby mi jeszcze wolniej miało szczęście pociec,
Bo i z Prawdą pięknie jest, i tak kazał ociec.
Trzeba wyznać, ja& było, że mi coś dawano,
Ale wszystkie godziny życia kupić chciano,
Żebym, wleczmy niewolnik, nosił jarzmo czyje,
Żył cały komuś, a sam zapomniał, że żyję;
A wreszcie mi nadzieją szafowano szczerze,
Nikomum źle nie zrobił ani mnie nikt dobrze.
Nadziejo! czyż ja ciebie w złotej chciał mieć szacie,
Żeby oczy pospółstwo obracało na cię?
Żebym sływał majątkiem? drugimi pomiatał?
Nie o tom ja pod drzwiami Fortuny kołatał.
Jedna wioska do śmierci, jeden dom wygodny,
Gdzie bym jadł nie z wymysłem, ale wstał niegłodny,
Gdzie bym się nie usuwał nikomu do zgonu
Swym pługiem zoranego pilnował zagonu;
Spokojny będąc na tym, co stan mierny niesie,
Stałbym sobie na dole, niech kto inszy pnie się.
W tym zamiarze praca mię całe życie tłoczy?
Nad książkami straciłem i zdrowie, i oczy,
Nad książkami, które ja, co gębie odjąłem,
Może zbyt ciężkim na mnie nakładem ściągnąłem.
Cóż mi książki oddały? Jak niewierna niwa,

Co zgubiła nadzieję rolnikowi żniwa.
Po wieku mego wiosny niewróconej szkodzie,
Nachylony ku zimie, zostałem o głodzie.
Za lat Symonidesów albo Kochanowskich
Może znalazłbym sobie Zamojskich, Myszkowskich,
Przy których bym wygodnie wieku mego użył
I pismem pożytecznym narodowi służył.
Dziś, zabierz mi kto księgi, ten sprzęt nieszczęśliwy,
Do których mię przywiązał nałóg uporczywy,
I co mi będzie lepiej w ubóstwie usłużne,
Zamieniaj na motyki i żelaza płuźne.
Porzucę nad pismami myśli kłopotliwe,
A serce niech mi tylko zostanie dotkliwe,
Żebym się mógł nad losem biedniejszych litować
I przy pracy miał sposób bliźniego ratować.
Maryjo! Siostró moja! jakżeś się kwapiła!...
Prawieś wraz z mą powrotem i ty tu przybyła!
Czego, stojąc w tym kącie z twarzą wyniszczoną.
Otoczona dziećmi, nieszczęśliwa żono,
Pogładasz mi na ręce, rychło jakim datkiem
Wesprę cię już goniącą majątku ostatkiem.
Nędza was, jak popadła, tak statecznie gniecie!
I tyś także, jak widzę, prawdą szła na świecie.
Opłakana rodzinno! Wy myślicie ślepi:
„On był między panami i nam będzie lepiej.”
Byłem i byłbym pewnie panom na coś zdatny;
To wiem, a tego nie wiem, za com niepopłatny.
Stało się! Nie mam swojej, kopmy cudzą grzędę,
Podeprzeć tę lepiankę, jeszcze w niej przebędę!

MYŚLI JESIENNE DO XIAŻĘCIA ADAMA CZARTORYSKIEGO, GENERAŁA ZIEM PODOLSKICH, POŚŁA LUBELSKIEGO

Tobie, Xiążę nad pochwały,
Pod ojczyzny twej brzemieniem,
Twardem pracując ramieniem,
Od zorze schodzi dzień cały.
Ja w jesiennem próżnowaniu
Jak rozrywałem nić nudy,
Daj czas krótkiemu czytaniu
I wysokie przerwij trudy.

Kiedy na górnej zodyjaku szali
Słońce tu waży jesień, a tam lato
I poty, które rolnicy przelali,
I plon, jakowym nagrodzeni za to,
Wody mgła gruba okrywa,
Wiatr się północny poświstem zwoływa,
Już nas rzucacie, wędrownie żórawie!...
Póki na naszej żyć mogliście strawie,
Póki przy naszym słońcuście się grzały...
Jak głód i zimno, zaraz uleciały!
Tak robi przyjaźń fałszywa,
Gdy u mnie nie czuje złota,
Gdy się stołów nie spodziéwa,
Nikt w moje nie wjeżdża wrota.
Chłodne wieczory. Mroźna jutrzeńki godzina

Rosę, kiedyś żywotną, ścina;
Truchleje na zimy przyście
Zatrwożone puszczy liście.
Człowiek, jak ten list drzewa, który mrozem zdjęty,
Od swej gałęzi odcięty,
Kiedy na ziemię padnie, niazac już nie stoi,
Tylko się jego szumu daremnie zwierz boi!...
Wichry nabierają siły,
Robią lasy niepogody.
Nieba się chmurą zakryły,
Chwila lodem pęta wody.
Tymczasem skrzętny koło swojej chaty
Gospodarz chodząc, opatruje ściany,
Ażeby matkę, obciążoną laty,
W ciepłe uchował do pory wiośnianej.
Ptak mu zlatuje leśny na podsienie,
I szuka, gdzieby żywność jaka była,
Której opatrność, karmiąca stworzenie,
W naszych mu gumnach cząstkę wyznaczyła.
O, wy niewinne ptaszęta,
Nie lećcież nigdy w te strony,
Gdzie ptasznik nieukoiony
Sieci wam stawia i pęta!
Ni waszym pieśczoneym głosem,
Ani piór bogatym strojem
Uchronicie się przed ciosem;
On samym żyje zabojem!...
Przy ubogich się prędzej pożywicie;
Ma ktoś do zbytku, dybie wam na życie

Zagrody mej ozdobo, lipo okazała!
Jak twoja minęła chwała!...
Straciłaś głowy koronę,
I uplotki zielone,
I wesołe przedtem czoło,
I nas bawiących się wkoło.
Na korze tylko karby się zostały,
Które lata poorwały...
Tak kiedyś hoża Teona,
Przybrana w różane wieńce,
Wiodąc zalotne młodzieńce,
Wdziękami była wślawiona.
Teraz, ten się jej nawet nie natrąca,
Którym wzgardziła Irys panująca,
Kwaśnemi słowy mówi, urywa,
Jej uśmiech zmarszczki nowe odkrywa,
Głośno się do lat swych nie przyznaje,
A w ciszy zbiegłym godzinom łaje.
Drzewom się z wiosną zieloność wróci,
Nas młodość, gdy raz porzuci,
Nie chce już nigdy zbujana,
Dawnego odwiedzić pana.
O cudzych mówiąc, swoje przypominam szkody!
I ja byłem kiedyś młody!...
Dziś, gdy mię wiek ujął cieśniej,
Nie śpiewam Lindorze pieśni,
Nie idę, chociaż mię wzywa
Igrać młodzież łaskotliwa,
Ani mię tak nie zamroczy

Irys urocznymi oczy.
Blżej zima, tem wiksze zawieruchy wzrosły;
Jaki despot, takie posty.
Łamie burzaza, co tylko jej oprzeć się śmialo.
To ciebie, królu puszczy, jesionie, spotkało!...
On swym wierzchołkiem zuchwałym
Panował nad lasem całym.
Niby od wichrów drobny krzew zasłaniał,
Ale gałęzią razem ogromną
Przygniatał chróscinę skromną,
I wzrostu wiecznie zabraniał.
Jedna godzina zdarzyła:
Padł, burza się z nim skłóciła.
Padł, i niewiele czasu przeminęło,
Ślady i jego wspomnienie zginęło.
Ów bohater zawołany
Zatrząsł ziemskimi ściany:
Świat mu słaby u nóg klęknął.
Choć się korzył przed swym katem,
Winnym go znalazł, że padając jęknął.
On jeden gadał, a cała
Posępna ziemia milczała.
Żeby w potomność żyć mógł odwlekła,
Podziw późnemu czyniąc plemieniu,
Żelazem, krórc krwią ludów ciekło,
Dziela swe w twardym ryje kamieniu.
Lecz nie tak, jak on, czas natarczywy
Zwolna ku niemu szedł, zemsty chciwy:
Co miało wieki przetrwać, pożyra

Żelazo, kamień i bohatera!...

Choć czasem słońce pogodne zabłyśnie,
Zdaje się, że nas chce drażnić umyślnie,
Bo wkrótce z wichrem nawalne śnieżnice
Sieką złej chwili ziemię niewolnicę.
Mojej to obraz, mojej to ojczyzny!...

Dla której chętnie przykrości znosili
I pocziwami chlubili się blizny,
I śmiercią dawni Polacy gardzili.
Dziś też samą matkę mamy,
Czemuż nie tak o nie dbamy ?
Czemu się, bracia, klóćcie,
Gdy wam chodzi o jej życie?
Gdy wam grób już wykopany
Od potężnych sąsiad ściany,
Rok jeden może nie minie,
Piękny kiedyś naród zginie !...

Burzliwe wasze obrady,
O nic nieskończone zwady,
Zawiść, uraza prywatna,
Pycha, nigdy niepopłatna,
Pożądaną porę psują,
Sprawę narodu wstrzymują !
Tymczasem (może ku wiecznej ohydzie)
Stan nasz do zguby, jak idzie, tak idzie.
I choć się tego morza uciszają wody,
Znakiem to tylko przyszłej niepogody.
Ten cierpi z tej czasu straty
Szkodę swą w ojczyzny szkodzie,

I pod królewskimi szaty
Nieżgód naszych cierń go bodzie.
Cierpią i serca poczciwe,
Patrzac na siebie i dzieci,
W jakiej burze nieżyczliwe
Chcą ich pograć zamieci!...
Xiążę, gdzie stoisz, stąd was nie ubiegna !
Z tobą wraz czuje ów stróż osiwiwały
I insi pięknej towarzysze chwały,
Co się pod pracy ciężarem nie zegną.
Nie opierasz się, znuzony niewczasem,
Na baszcie, której straż ci poruczona,
Aby snąć sen cię nie ogarnął czasem,
Góry nie wzięła nieprzyjazna strona.
Jeśli po burzy, którą się dziś chwieje,
Swojej się wiosny doczeka ojczyzna,
I polska niwa zieloność przywdzieje,
Kiedyś w krzew laurów nieśmiertelnych żyzna,
Wam ja, mężowie, pochwał warci sami,
Póki mi życia nie przerwą się watki,
Latając myślą i piórem za wami,
Podług sił w pismach wystawię pamiątki.
Nie w marmurze twardym ryte,
Ani śpiżą znakomite,
Małeć wprawdzie, małe,
Ale może trwale.

O NIESZCZĘŚCIACH OJCZYZNY I RZEZI HUMAŃSKIEJ

Pieszczone dzieci, gdy rozgniewały
Ojca, i gdzież się podzieją?
Stojąc pod dzwiami, płaczą dzień cały,
Kołatać we drzwi nie śmieją.

A lud zuchwały, przechodząc blisko.
Słowem zelżywem je szpeci,
Czyniąc z nich sobie uragowisko,
Że ojciec wygnał swe dzieci.

Ale Ty, Boże. który z daleka
Patrzysz na serca wygnanych,
Ulitowany nędzą człowieka,
Pocieszysz znowu stroskanych.

Już do Twycli uszu przyjść miały głosy
Krwi, co lud przelał zażarty,
I wiara Twoja poniosła ciosy,
I kościół z ozdób obdarty.

Wspomnij przynajmniej na Twe ołtarze,
Przy których my stać przyrzekli;
Nie karz, wszak zdawna nikt tych nie karze,
Co do ołtarza uciekli.

Złóż nas Twą bronią, której zamachem
Rozsądzasz między wojskami,
A nieprzyjaciel pierzchnie ze strachem,
Widząc, żeś jeszcze Ty z nami.

PIEŚŃ DZIADA SOKALSKIEGO W KORDONIE CESARSKIM

Śladem bieda przyszła, śladem,
Za zbytkami, za nieładem!

Długo nad granicą stała,
Wolności się dotknąć bała.
Wolności się dotknąć bała,
Bo ją dawno szanowała.

Wolności, niebieskie dziecko,
Ułowiono cię zdradziecko.

W klatkę cię mocno zamknięto
Bujnych skrzydełek przycięto.

Przedtem u jednego stołu
Król z poddanym jadł pospołu,

Jak ojciec dzieci przyjmował,
Jak swych przyjaciół częstował.

Dziś mu u stołu klękają,
Kości z psietami zbierają.

Głowę, kiedyś w kraju drogą,
Służka pański trąca nogą!...

Pochlebcy go otaczają,
Palcem biednego stykają,

Ot, mówią, kość polizuje,
Dawnej wolności żałuje.

NA DZIEŃ 3 MAJA 1791 SZCZĘŚLIWIE DOSZŁEJ KONSTYTUCJI KRAJOWEJ

Nóta: Patrzcie, bogacze świata i t. d.

Rzucajmy kwiat po drodze!
Tędy przechodzić mają
Szczęścia narodu wodze,
Co nowy rząd składają.
Weźmy weselne szaty!
Dzień to kraju święcony.
Jakże ten król nasz bogaty!...
Skarb jego, serc miljony.

Uczcie się, dzieci nasze,
Nucić tę pieśń wraz z nami!
Ażeby wnuki wasze
Śpiewały ją wiekami.
Wstyd wam, bogate światy!
Złoty wasz wiek przyćmiony.
Jakże ten król nasz bogaty!...
Skarb jego, serc miljony.

Miasta, wioski szczęśliwe,
Wstawajcie, słońce wschodzi!
Niebo wdało się tkliwe
I ludzi z ludźmi godzi.
Odzyskaliśmy straty,
Bliźni nasz znaleziony.
Jakże ten król nasz bogaty!...
Skarb jego, serc miljony.

Krzywda wam, męże zmarli!
Zeszliście bez nadziei,
Byśmy się jak oparli
Srogich losów kolei.
Odzyjcie, skrzepłe braty,
Stan Polski odmieniony!
Jakże ten król nasz bogaty!...
Skarb jego serc miljony.

Żołnierz kraju obroną,
Miastaśmy podźwignęli;
Już nad każdą koroną
Krwi nie będziemy leli.
Weźmy weselne szaty,
Dzien to kraju świecony!
Jakże len król nasz bogaty!
Skarb jego, serc miljony.

ŻALE SARMATY NAD GROBEM ZYGmunTA AUGUSTA OSTATNIEGO POLSKIEGO KRÓLA Z DOMU JAGIEŁŁÓW

Ty śpisz, Zymuncie! a twoi sąsiedzi
Do twego domu goście przyjechali!...
Ty śpisz! a czeladź przyjęciem się biedzi
Tych, co cię czcili, co ci hołdowali!...
Gorzkie wspomnieme, gdy szczęście przeminie,
Czemuż i pamięć o nich nie zaginie?...

Nie zostawiłeś syna na stolicy
Przez jakieś na nas Boga rozgniewanie,
Któregoby wnuk dziś po swej granicy
Rozrzucał postrach i uszanowanie! ...
Po tobie poszła na handel korona,
Tron poniżony i rada stępiona!

Ojczyzna moja, na końcuś upadła!
Zamożna kiedyś i w sławę, i w siłę!...
Ta, co od morza aż do morza władła,
Kawałka ziemi nie ma na mogiłę!...
Jakże ten Wielki trup do żalu wzrusza!
W tym ciele była milionów dusza!

Patrzcie! matczyne jakieś leży dziecię!...
W wyniosłych piersiach głęboka mu rana,
Którą szlachetne wychodziło życie!...
On nie uciekał, bo z przodu zadana!
Jeszcze znać w twarzy, jak jest zemsty chciwy!
Zdaje się gniewać, za co nieszczęśliwy?

A tam - poczciwość, kościół, wstyd zgwałcony;
Pożarem całe spłonęły osady!...
W dom gorejący właściciel wrzucany,
Pierwej mu wszystkie zrabowawszy składy.
Wszędzie zajadłość ogniem, śmiercią ciska,
Gdzie pojrzyisz - rozpacz, trupy, zgorzeliska!...

Po tych rozbojach, jedni zniechęceni
Pod nieznajome rozbiegli się nieba,
Drudzy, ostatnią nędzą przyciśnieni,
W swych kiedyś domach dzisiaj żebrzą chleba!
Insi rozdani na Moskwę i Niemce,
Na roli ojców płaczą cudzoziemce.

Wy, co domowe oplakawszy klęski,
Poszliście naród ratować niewdzięczny!
W tylu przygodach wasz oręż zwycięski
Pokazał światu, że i Polak zręczny...
Cóż przynieśliście z powrotem w swą stronę?...
Ubóstwo, blizny, nadzieje zwiedzione!...

Oto krwią piękną ziemia utłuszczona
Konia i jeźdźca dzikiego wytucza,
A głodne dzieci matka przymuszona
Panującego języka naucza!...
Tak jest, jak twardy wyrok jakiś kazał:
Inszych popisał, a Polskę wymazali.

Wisło! nie Polak z ciebie wodę pije,
Jego się nawet zacierają ślady,
On dziś przed swoim imieniem się kryje,
Które tak można wślawiły pradiady!...
Już Białym Orłom i bratniej Pogoni
Świat się, przed laty nawykły, nie skłoni!...

Zygmuncie, przy twoim grobie,
Gdy nam już wiatr nie powieje,
Składam niezdatną w tej dobie
Szablę, wesołość, nadzieję
I tę lutnię biedną!...
Oto mój sprzęt cały!
Łzy mi tylko jedne
Zostały!...

PRZECIWKO FANATYZMOWI

Krzyż w jednej ręce, żelazo ma w drugiej,
Zasłonił oczy, pozatykał uszy!
Tak świat obiega, jak jest w sobie długi,
Wszystkiego dotknie i z gruntu poruszy.

Gdzie tylko przeszedł, krwią ludzką spluskany.
Dojdiesz go czarnym zostawionym śladem.
Lubi kaleki, śmierć, nędzę i rany,
Pije łyż cudze, tuczy się swym jadem.

Gdy złych od dobrych świat obaczy przedział,
Temu sędziemu co natenczas rzeczem?
Który swym uczniom wyraźnie powiedział:
„Ja was na ziemię nie posyłam z mieczem.”

Czy Molochowe wskrzeszamy obrządki,
Gdzie krwią człowieka błagany bóg srogi?
Czy Buzyrysa miłsze nam pamiątki,
Który zabijał przychodnia w swe progi?
Ofao syn, tłumiąc przyrodzone prawo,
Z własnego ojca uczynił ofiarę:
Ten padł, ów nad nim trzymając broń krwawą,
Wraz woła ranny z raniącym; „za wiarę”.

Wiaro! ty czysta przysłana na ziemię;
Ale cię człowiek zabobonem szpeci;
Ty chcesz, by ludzkie kochało się plemię,
Jako jednego ojca jedne dzieci.

Bóg od nas wszystkich wyciąga swej chwały;
Pod jednym żyje naród ludzki Panem;
Afryckich pustyń tułacz ogorzały
Z Lapoinem albo Chińczyk z Luzytanem.

Za cóż dla wiary miecz kto w ręku nosi?
Pokrzywdzą niebo i prawa natury?
Kiedy ktoś ręce równo ze mną wznosi,
Nie potępić go, on je wznosił do góry.

Czyż to nie lepiej Rzym rozumiał stary?
Aby zamieszkom powszechnym zaradził,
Szczęśliwe skutki ze złej robiąc wiary,
Bogi narodów w stolicę wprowadził.

Gdy różne bóstwa ręce sobie dały,
Serapis został Jowiszowym bratem,
Eufrat się z Tybrem w jedno łożę zlały,
Rządził Rzymianin uciszonym światem.

Jeśli niebacznosc była dotąd głucha,
Idź, ktoś wykroczył przykładami temi:
Człowiek szczególnie niech zwierzchności słucha,
A zwierzchnosc Boga, który ojcem ziemi.

Nie mamy prawa z bronią w rękę pytać
I o rzecz świętą pastwić się nad bratem;
Ty, co te wiersze będziesz kiedyś czytać,
Wspomnij, że chciałeś być sędzią i katem.

Jam ci z rąk wyrwał oręż zgotowany
I ślepy zapęd z wolna ułagodził,
Żeś się nareszcie, już sam przekonany,
Z rozumem, z sercem i z wiarą pogodził.

Ojczyzno moja; nikt nie widział ciebie,
Abyś się kiedy zmazała tą plamą!
Gdy przyjdzie pora, ratuj się w potrzebie,
A niebo mocne nie da się i samo.

PIEŚŃ PRZYJACIELSKA PRZY KIELICHU

Niechaj kto wzdycha do zbytków,
Jest coś droższego od złota;
Nie żądam wielkich pożytków,
Niech żyje przyjaźń i cnota!

Tu myśli nasze mieszamy
W napoju, który pijemy,
Jednego człeka składamy,
Bo jedną duszą żyjemy.

To u mnie pierwsza przewaga,
Kochać się, to pierwsza rada;
Przyjaźnią wszystko się wzmaga,
Niezgodą wszystko upada.

Niech kłótnia szuka swej zguby,
Nam ręka z ręką się łączy;
Oto przyjacielskie śluby,
Które śmierć chyba zakończy.

PODRÓŻ Z DOBIECKA NA SKAŁĘ

Z Dobiecka, gdzie Pan miejsca w dawnej swej dziedzinie
Staropolską szczerością i cnotami słynie,
Gdzie z nim żona przykładna pouczyła dziatki,
Że jedne pełnią cnoty przed oczyma matki,
Drugie, patrząc z pilnością na starszych przykłady,
Myślą: „I my też kiedyś pójdziemy w ich ślady”,
Z Dobiecka zebrawszy się Kamilla, Albina,
Ja przy nich, człek przy koniu madam i Kloryna,
Wyszliśmy skałę widzieć nad wieczorną porą.
Konia miała Kamilla, nas pieszych pięcioro.
Nad samym dwór Dobiecki brzegiem Sanu leży,
Który niestatecznemi zakrętami bieży,
Wdzięczne kępy czystymi ramiony okrywa;
Chytry, sam je porobił, i sam je zaléwa!
Tam wzgórki rozkosznemi drzewami się stroją,

Gdzie słowik swą pieśń śpiewa, a pasterka swoją,
Do której, gdy Aleksy przyszedł na godzinę,
Całować się zaczęli i poszli w gęstwinę.
Tu niewinna na bujnej łące owca pasie,
Nad nią zuchwała koza po skałach wspina się,
I, wisząc nad przepaścią, chlubi się z swej sławy,
Że doszła nietykanej od nikogo trawy.
Indziej, z gęstwiny lasku wioska wyskoczyła,
Żeby się tak pięknemu porzeczu dziwiła;
A gdy się cudzym wdziękom przypatrywać rada,
Sama z drugimi widok najpiękniejszy składa.
Na lewej dworu stronie, po przechadzce małej,
Pierwszy nam dał się widzieć wzgórek okazały.
Czyli go ręka ludzka kiedyś usypała,
Czy wiekami natura nad nim pracowała ?
Ale go człowiek jakiś dawniejszego świata
Drzewami poobsadzał, na których, choć lata,
Chociaż poznać nadpsucie, prawie go nie czują:
Jeszcze teraz i z burzy i z czasu żartują.
Kaplica od pobożnej ręki wystawiona
W środku wzgórką, dawnością stoi uświęcona;
Gdzie i dziś wieśniak, z pola idąc, w dobrej wierze,
Ocierając pot z czoła, szepce swe pacierze,
W których z chudobą, z dziećmi, z tem, co mu nie staje,
Co ma w gruncie, co posiał, na Boga się zdaje.
Tam i pasterz, straciwszy owcę. Bóstwo klóci
I mówią, że mu zawsze zguba się powróci.
Tam i my, że się chciało odpocząć Klorynie,
Przyszedłszy, obsiedliśmy tę polną świątynię.

Ja, patrząc na porzecze, wdziękami okryte,
Świstałem sobie moje piosnkę faworytę.
Albina, dobrowolnie pragnąc swojej straty,
Okrywa pierś kwiatami piękniejszą nad kwiat
Kloryna coś tam sama do siebie gadała,
Madam mię już ostatniem słowem zapewniała,
Że żadnemu mężczyźnie nigdy nie dowierza.
A nikt z nas przy kaplicy nie mówił pacierza
Kamilla wtem zawoła : „Cóżem ja odkryła!”.
Razem z piasku kość głowy człowieczej dobyła,
Przybliżemy się ku niej, szukając miejscami.
Ta piszczel a ta spinę znalazła z żebrami.
Oto masz jeszcze głowę, oto jeszcze szczękę!
Mnie smutna myśl obleci i do naszych rzekę:
„O szanujcież to miejsce, szanujcie te kości!
Jak są białe! jak lekkie! znak to ich dawności
Ta ziemia, wielkich kiedyś rycerzów siedlisko,
Pewnie to w boju ległym dała grobowisko.
Może na tych równinach, gdzie ta trzoda pasie
Szumnych naszych wojaków rota ścierała się.
Gdy uderzy pierś o pierś i strzemię o strzemię,
Nie jeden krwi pocziwej strumień zlał tę ziemię.
Ten, co sile przeciwnej nie wydołał sprostać,
Wolał poledz na placu, niż w niewoli zostać,
I, mocując się z śmiercią, zachęcał drużynę:
„Te mnie rany nie boją, za ojczyznę ginę”.
Po potyczce, przy smutnych pieśniach rota cała
Pewnie na to tu miejsce ciała sprowadzała.
Może, gdzie my siedziemy, tędy matki stały,

Między trupem zrabane syny poznawały.
Ta, poznawszy swojego, sama ledwie żywą
W zbolące tłucze serce ręką popędliwą.
Ta ją w żalu hamuje: „Wszak i mój się minął,
Tożto za nic, że syn twój za ojczyznę zginął ?”
Ta, gdy konia białego, na którym wysłała
Swojego jedynaka, przypadkiem poznała,
Przy nim tarcza i szabla na łąku wisiały,
A po karku mu pełno krwi zaskorupiałej,
Rzuci się doń: „Otóż my razem sierotami!”
Krew spiekłą łzami płócze, ociera ustami.
Wtem z trupów zbroje zwłóczę, w dół składają ciała,
Troistym je okrzykiem rola pożegnała;
A jeden z naczelników mówił do gromady:
„Oni legli, ale wam zostały przykłady”.
Gdy tak o staropolskich rycerzach gadamy,
Z uszanowaniem kości z piasku dobywamy
I, składając w kaplicy te zwłoki święcone,
W dalszą podróż pośpieszym, serca napelnione
Mając obywatelstwem i żalem wzruszeni,
Jakośmy dziś od przodków naszych odrodzeni!
Cicho z nas każde idzie. Wtem z pod ziemi niby
Głos się jakiś odezwie; duch jest bez ochyby,
Duch jest, tylko nie wiemy, zła czy dobra dusza.
Madam się zarumieni i ramiony wzrusza ;
Razem nam pokazuje, że korek złamała
I o jednym trzewiku tylko pozostała.
Widać to było po niej, że przypadek czuje:
Już gęściej, niżli przedtem, wachlarzem pracuje,

Już czasem uszczypliwym słówkiem przycinała,
Bo, prawdę powiedziawszy, Albina się śmiała.
Ja, który na tym świecie doznałem wszystkiego,
Jak czasem z małej rzeczy przyjdzie do wielkiego,
Przyjacielskim sposobem zacząłem w to wchodzić,
Jakby madam z Albiną i z jej korkiem zgodzić.
Korku lipowy, jakżeś kosztował mię siła!
Któż to wszystko wyrazi, co niechęć zrobiła ?
Pożar swój zapalała po małej iskierce,
Potem mię nie jeden raz zabolalo serce.
Równie kiedyś i Cezar z rzeczy pewnie małej,
Że mu się jakieś fochy Pompeja niezdały,
Z drobnych początków, wreszcie goniący ostatnią,
Usiadł na kark Rzymowi i toczył krew bratnią.
Ale smutne przecucia i przeciwne losy
Na te, co niemi rządzą, spuściwszy niebiosy,
Idziemy w dalszą drogę, w której nas wstrzymuje
Rów długi i głęboki. Kamilla wskazuje,
By jej konia podano, chcąc objechać wkoło.
Znowu to nasza madam przyjmie nie wesoło,
Bo, sądząc sprawiedliwie, jej to należało,
Na nią prawo jechania po korku spadało.
Ale, gdy się nieszczęście na kogo usadzi,
Tysiączne przeciwności ze wszech miar gromadzi;
I tak idzie złe po złem, los z losem się łączy,
Wreszcie przyjdzie najgorszy i człeka dokończy.
Już i nasze nieszczęście zaczęło łańcuchem.
Kamilli dano konia; jakże składnym ruchem
Ku niemu przystępuje! Cmoknie, w grzbiet uderzy,

Krzyknie nań, schwyta grzywę, wsiądzie, jak należy,
Kamilla na gniadoszu wkoło poleciała,
My prosto puścimy się. Znowu burza wstała,
Kiedy przyszło i błoto i łozy przebywać.
Madam o poniewierkach zacznie przebąkiwać.
Więcej jeszcze: Albinę kiedym przeprowadził,
Służalec wziął Klorynę i na brzeg wysadził,
Ona sama zostawszy, gdy przeskoczyć chciała
I drugiego trzewika w błocie postradała.
Dopieroż już wyraźniej z Kornela, z Rasyna,
Z Boalego wziętemi wierszami przycina,
W których do tego zmierza, co wspiera jej sprawę,
Że lepiej życie stracić, aniżeli sławę.
Dzięki słudze! Od dalszych kłótni nas wybawił:
Dobył z błota trzewika i sławy poprawił.
Te zawady przebywszy i kłótnie domowe,
Ponad brzegi rozkoszne idziemy Sanowe.
Kamilla nadjechała, tak nasz tabor cały
Na koniec do żądanej przybliżył się skały.
Jakże to wielki widok! Woda popędliwa
Przeciw skałom na pomoc czasu przywoływa,
I, chociaż wody miękkie, chociaż czas leniwy,
Przecież krają na poły kamień uporczywy.
Właśnie wtenczas pogodne słońce zachodziło
I białych skał wierzchołki same czerwieniło,
Po których nad urwiskiem idącą drożyną
Pasterz bydło popędzał. Na dole rozwina
Sieci z czołnów rybacy. My rzucamy okiem,
Nie wiedząc, którym pierwej napaść się widokiem.

A jeszcze te ozdoby nam się podwajały,
Bo wszystko najczystsze wody odbijały;
Że dwoistym bawiem się za jednymże razem
Pasterzem, bydłem, czólnem, rybakiem i głazem.
Hej! kto nie był na skale, jakby nigdzie nie był!
Czólnem z madam, z Kloryną, z Albina jam przebył.
Kamilla po swojemu w bród San przejechała.
Pnie się znowu pod górę rota nasza cała.
Już na wierzchu stojemy. Inszy widok cale:
Ziemia, wody, opoka, które tak zuchwale,
Z dołu patrząc, niebiosom panować się zdały,
Stąd widziane przy samej pysze pozostały.
A niebo stare swoje panowanie wzięło,
Ziemę z wodą, z lasami w swem łonie zamknęło.
Tam każde z nas w pokorze Bogu się pokłoni,
Który znowu i niebo ogarnął w Swej dłoni.
A że już słońce zaszło, czas w domu się stawić.
Smutni skałę rzucamy, że dłużej zabawić
Na niej nie można było. Gdy nad San przyjdziemy,
Ja, Kamilla, Albina czólnem przepłyniemy.
Służalec z koniem już nas czekał pod kępiną,
Po madam wrócił rybak przewieźć ją z Kloryną.
A my tymczasem idąc wolnymi krokami,
Nim się madam przewiezie i połączy z nami,
Albina myśli swoje o skale powiada,
Że jej zawsze ten widok coś nowego gada,
Że czuje piękność świata. Tak słowo po słowie,
O niczem nie myślący, staniemy przy rowie.
Obejrzemy się razem, Kloryny nie stało.

Ale niemasz i madam! serce mi zadrżało.
Gdzieśmy na ląd wysiedli, ku temuż brzegowi
Powrócę. Nie masz naszych! Rybak tylko powie,
Że je przewiózł szczęśliwie, że choć nas widziała
Ta pani, wraz wysiadłszy, za rękę porwała
Młodszą, co była przy niej, i nie już za nami,
Ale w prawą dzikiemi poszła manowcami.
Że coś niezrozumianym językiem mrucała,
Ale djabła, jak mówił, często wspominała.
Gdym wysłuchał, wnet wszystkie staną mi w pamięci
Od korka fatalnego zaczęte niechęci,
I ta świeża, żeśmy się w drogę pokwapili,
A ją samą z Kloryną tylko zostawili.
Otóż, żeby nas martwić, umyślnie błądziła,
Choćby siebie niebaczną i dziecię zgubiła.
Już noc padła; oczy mi na nic się nie zdały,
A żeby obłąkanych po polach szukały.
W ciężkiej tedy rozpaczy wołam: madam! madam!
Madam milczy, a z samem tylko echem gadam.
Złączyłem głos z rybakiem, by dosięgnąć dalej,
Aleśmy próżno oba potrzykroć wołali.
Wszystkie mi nocne w myśli stanęły przygody,
Zwierz najbardziej, co świeżo ponaiabiał szkody,
Zwierz najbardziej okrutny, który trafi, gdzie chce,
Kiedy nieubłagany los człowieka zechce.
Dopiero nad Kloryną cały mój żal wzbudzę,
Bom cierpiwał i czułym na nieszczęścia cudze:
„Kloryno, już twój ojciec z matką wiek skończyli,
Ciebie sierotę w rękę krewnych zostawili!

Na tożęś ich przeżyła, żebyś świecąc mało,
Zgasła śmiercią okropną ?... Już może się stało!...
Już może teraz srogi zwierz ją dokonywa,
By prędzej wygnał duszę, krwi zewsząd dobywa,
Gładkie piersi kaleczy, kazi twarz rumianą,
Razem piękność i znaczne pożerając wiano!
Jutro na polu może znajdę trochę kości,
Co się od rozjuszzonej zostaną dzikości.
Te poniosę w dom ciotki reszty twego ciała,
Ale jej nie pokażę, boby wraz skonała,
I tylko domownicy, kiedy cię obaczą,
Równie nad tobą krewni i obcy zapłaczą,
A nie będzie co pogrześć!...”

Caetera desunt.